



Jarzębina czerwona

Na darmo ktoś groził, gromił, ostrzegał. Nie zaznam bowiem spokoju, jeśli nie spróbuję dotrzeć do pewnej rodzinnej tajemnicy, nurtującej mnie już od dawna. Najlepiej będzie zacząć od początku, i pomału, ruchem okrężnym zbliżać się do środka. Nie było jeszcze wtedy rodziców. Byli Babka i Dziadek. Czy Dziadek był człowiekiem niezwykłym? Miał piękne, choć nieco już wyblakłe, błękitne oczy i potrafił przepowiadać przyszłość. Dziadek kochał konie. Huśtał mnie wozem po rozświetlonym miasteczku. Jeździłam z nim opromieniona blaskiem, cała błoga i jakby nieżywa ze szczęścia, pełna mrówek w czubkach palców, z niebem gwałtownie kołyszącym mi się w głowie, ze stukotem kopyt końskich w żebrach, wstrząsana i nieprzytomna. Nic piękniejszego nie mogę sobie przypomnieć, nic bardziej upajającego. Kim był Dziadek, kim były jego konie, którymi mnie powoził? Dlaczego znalazłam się tam, w jego królestwie, w regionach magii, zapachu siana, starych kozuchów w szafie i na mleku, przypalonych blinów, jaj bulgocących na smalcu, wachlarzu kart na stole, owocowej wódki i gnoju końskiego? Byłam tam rzucona, podrzucona przez los. Nasiąkałam atmosferą żółtych pól i suchych dróg, szarych stonek pośpiesznie zapędzanych do pudełkowego aresztu, niefrasobliwych motylków bielinków, ostrych psów i żelaznych szyn kolejowych, którym żmudnie, krok po kroku asystował wieczorami dziadek. Obrastałam zapachem izby pełnej nierozwikłanych pajęczyn, smutnych i samotnych Bozi, Jezusów otoczonych wiankiem apostołów oraz starych, pożółkłych modlitewników. Moje policzki gorzały od buszującego w piecu ognia. Za piecem pomieszkiwał zimą jeź, Babcia karmiła go mlekiem. Co jakiś czas wystawiał mordkę zza węgła, żeby lypnąć na nas okiem. Podchodziłam do niego na palcach i wsuwając kawałek głowy w pachnącą zgniłym deszczem ciemność wstrzymywałam oddech, zastępywałam najeżona jak on.

Wieczorami Babcia czytała mi wierszyki Brzechwy, Tuwima, Mickiewicza – co tydzień nową broszurkę „Poczytaj mi mamó”, świeżo przyniesioną przez sympatycznego, zawsze głodnego gołębia, który gruchał bez opamiętania, żeby mnie rozbawić. A że Babcia przez cały tydzień powtarzała jedną i tą samą baję, uczyłam się ich na pamięć, nie rozumiejąc znaczenia słów, chwytając tylko rytmy zachłannie, odurzając, zachłystując się rytmem, przewodząc żyłami ich drganie. Te rymy były od Mamy. Były po prostu *niq*. W cichym głosie Babci czaiła się gorycz. Czytała nawet wtedy, gdy bolała ją głowa – wiernie spełniała swoją powinność. Gdy zasypiała, lekko dotykałam jej bezwładnej dłoni. Edukacyjne to zadanie poruczyła jej piękna, wesoła, utalentowana i daleka pani, która, jak niejasno przeczuwałam, była moją matką i gdzieś w dużym, poniemieckim mieście robiła w biurze BILANS na wielkich, drewnianych liczydłach. Dlatego też nie miała czasu, dlatego nie mogła być ze mną, dlatego też coraz rzadziej puszczała się w tany na wielkich, rozśpiewanych placach powojennego Szczecina. Karuzela, karuzela, na Bielanych co niedziela. Tak, w tej piosence na pewno była moja Mama, tam właśnie należałoby jej szukać, w tę piosenkę się wplątała, tam gdzie utknęła i uwiła sobie gniazdo. Owinęła się piosenką jak kokonem i już nigdy nie zdołała stamtąd wyjść, bo kokon okazał się zawiliły. Tam właśnie należałoby jej szukać. Tej małej, rozśpiewanej dziewczynki, skorej do żartów, figlów i swawoli. Tej, która nie odważyła się

wówczas zapisać do Mazowsza. Tej wysłanej w czternastym roku życia z dużą walizką, w kusej spódnicy i z siniakami na kolanach do wielkiego miasta, do gimnazjum, do internatu. Rozglądającej się niepewnie po ciemnym, jeszcze nie całkiem oswojonym dworcu. Jest we mnie, gdy to mówię, tylko płacz i ból. Za dużo we mnie tej słowiańskiej krwi, tej nieutulonej melancholii i tęsknoty, tego przechyłu w stronę głębi, drażnienia, samoumartwienia, wczuwania się w innych i w siebie, wsłuchiwanie w ponury tragizm egzystencji. Biczowania się za każdy niebaczny wybryk niepohamowanej radości życia.

Tak pomału wrastałam w ten pachnący strawą dla prosiaków, markizami przekładanymi kremem i odległym liczydłem świat. Dziadek codziennie pieśni mi zawodził. Obok przerażającej skargi i apostrofujących kłęby nieba wlotów było w jego głosie jeszcze dużo, dużo, wigoru. Był w tym głosie jego DUCH, pewnie dlatego proszono go tak często, żeby wznosił śpiewy na pogrzebach. Nie odbył się bez niego tutaj żaden pogrzeb, żaden trup nie chciał puścić się w ziemię bez dziadka tęsknego zewu przelamanego werwą na pół. Bo każdy trup wzdraga się w gruncie rzeczy przed trumną i niełatwo go do niej przekonać. W swoich pieśniach dziadek mój zaklinał zwłoki zmarłych, tłumaczył im, że w gruncie rzeczy trumna to sprawa drugorzędna, rodzaj dekoracji, kwestia ukłonu w stronę żywych, a tak naprawdę nie o nią w śmierci chodzi i nie na miejscu są tu żadne klaustrofobie. Rozpad niedługo daje na siebie czekać, tylko patrzeć, a przytuli ich do siebie matka ziemia, a nie ma, naprawdę nie ma nic bardziej kojącego od jej łona. Po drugie, sam moment umierania przypomina zapadanie w błogi sen i jest bodaj czy nie najszcześniejszym momentem egzystencji. Po trzecie, uwolniona w procesie umierania energia konsoliduje się, zbiera w sobie, dojrzewa, kołuje najpierw niepewnie nad trupem, krąży wokół żywych, budzi ich sumienia, zatrzuwa im życie, daje znać i daje w kość, nie może się oderwać, aż w końcu – jak kopnięta lub wystrzelona z katapulty – rusza piorunem w stronę gwiazd.

Nie był jednak Dziadek, jak się okazuje, tak do końca o tym wszystkim przekonany, w jego kojący wywód zakradały się niekiedy sprzeczności, bywało, że nie mógł znaleźć wyjścia z zawitych korytarzy swej argumentacji, w które wskakiwał jak konik polny za koszulę, wplątywał się w jak ważką we włosy, jak wyszukiwarka w sieć. W takich chwilach tylko jego ani trochę nie zbity z tropu głos świadczył niechybnie o tym, że miał rację nawet, gdy jej nie miał.

Nie był też Dziadek tak do końca pewien, na co położyć w swych wywodach nacisk. Czy na pociechę wypływającą z powrotu do ziemi, czy też na swoiste zbawienie, na eksplozję w niebo duchem i przygodę nowego wcielenia. Nie znalazł miejsca w swoich spekulacjach ani na piekło, ani na sąd ostateczny, stąd też unikał na mszach wzroku nadrabiających miną, bezradnych, zagubionych za amboną księży i wykupywał się był u nich sporymi sumami wsuwanych im w koszyki pieniędzy. Tak czy owak było w jego wizjach pośmiertnych wojaży jakieś rozdarcie, czyhała jakaś niekonsekwencja, z którą do końca nie mógł sobie poradzić. Z którą w chwilach samotności się mocował.

Do mojego wózka dziadek przywiązał sznurek i tak mnie na tym sznurku tam i z powrotem odrzucał i przyzywał. Niewiele z tej afery rozumiejąc, prulam bezwolnie przez pokój, to głaska, to policzkowana wiatrem, z gorejącą buzią, zachłystującą się zamaszystym ruchem w nieznanie i niezawodnym, upragnionym powrotem. I hej i hop, powtarzał z uporem dziadek, raz z werwą, raz bez. Wpajał tęsknotę za lotem ptaków i za dziuplą krasnoludków pod korzeniami drzew. A moja Mama miała kiedyś na Litwie prawdziwą, olbrzymią kołyskę. W tej gigantycznej, uczepionej na suficie łodzi bujał ją zatrudniony w tym celu student. Kiedy w domu nie było niko- go, cichaczem wyfuskował spore już dziecko z szalejącej łupiny, sam się w nią pakował i kołysał,

kołysał do do łez, podczas gdy Mama, oszukana i niezrozumiana, kwiliła na podłodze. Kilka lat później w tej samej kołysce wściekle uspokajała jednego ze swych braci, aż jej kiedyś wypadł i mocno się poturbował. A mojego Taty to nikt chyba wcale nie kołysał. Zostawiony na pastwę losu na rubieży Kamiennego Pola, ubogiej niemieckiej osady w odległej, mitycznej Galicji, siusiał i krzyczał w niebogłosy w wiklinowym koszyku cały boży dzień. Kiedy Babcia robiła przerwę w pracy, aby go nakarmić, jej teściowa marszczyła srogo twarz.

Wieczorami brali mnie dziadkowie do łóżka, między siebie. Kiedy było bardzo zimno, przykrywali mnie kożuchem, pachnącym ogniem, oddechem i popiołem. Dziadek opowiadał bajki. Gonił Babcie, żeby robiła mi herbatę, gdy w nocy o nią wołałam, dławiona pustką i suszą. Babcia wstawała, rozpalala ogień. I już za chwilę buzował i skrzypiał. Uśmiech Babci był zanikający i blade. Jej wykrzywiony na ścianie cień zastygał czasem niepokojąco. Konie spały. Mysz chrobotała na strychu. Babcia nie mówiła ani słowa. Czasem tylko zrywała się ze snu i zaklinała: Tata będzie spokojny. Mama przestanie. Miewała przywidzenia, zerkała w stronę pieca, wydawało jej się, że śpią na nim teściowie, tak jak w tej małej ziemiance tysiące kilometrów stąd. Pradziadków pochłonęły już dawno zimne i obce stepy Kazachstanu, do którego na początku wojny wywieziono całą rodzinę, moich dziadków, pradziadków, ciocie, wujków, mamę. Babcia napisała o tym wiersz: *Trzynastego kwietnia będziemy pamiętali / Przyszli sowieci gdyśmy jeszcze spali / O straszna chwila o straszna godzina / Rodzina butów swoich zapomina / Ale my nigdy nie zapomnim tej chwili / Gdy nas w wagony ciemne jak w trumny wsadzili / O żegnaj Polsko żegnaj chatko miła / O żegnaj ziemię która nas karmiła / Ryknęła głośno sowiecka maszyna / Jakby każdego sztyletem przeszła / Mijają doby tygodnie mijają / Raz na dzień chleba i wody nam dają / Jedziemy Rosją górami Uralu / Tak my jedziemy po tym pustym kraju / Jedziemy autem a potem saniami / Przez śniegi tajgi śnieżnymi stepami / Dzieci zmarznięte z sań wypadają / A na noclegach umarli zostają...* Dla Pradziadków nie było już powrotu z Kazachstanu. Oni już tych nowych ziem nie odzyskali. Poumierali ot tak, w oczekiwaniu, w międzyczasie, w tym prowizorycznym, ledwie zaimprovizowanym życiu, w izbie, którą dzielili z niesfornym cielaczkim o ciepłym, szorstkim języczku i ostrych ząbkach, którymi kiedyś bardzo zbroił. Czasem Babcia miała jednak wrażenie, że duchy teściów powlokły się za nami. Zrywała się. Nasłuchiwała. Czasem śniło jej się, że koń wyrwa się ze stajni. Albo że nie jest w stanie zatrzymać rozpedzonego powozu, pędzącej na oslep bestii.

W dni świąteczne na izbę często napadały baby z chustkami na głowach. Złatywały się drzwiami i oknami, najczęściej niedzielnym popołudniem, bezskutecznie odpędzane przez Babcie znakiem krzyża i wodą święconą. „Józefie, to nie jest od Boga”, przekonywała bezskutecznie Babcia. Długimi, kolorowymi spódnicami szargały świeżo wyszorowane, drewniane belki podłogi. Żądały wróżby, co je czeka, co przyniesie im los. Wierzyły że mój dziadek posiadał dar. A może odkryły męczyznę, z którym po prostu można było porozmawiać. O miłości, śmierci, o porodzie. Oblegały więc niedzielami jego poniemiecki dom, stare i młode, dorodne i cherlawe, hałaśliwe i strute, wychudzone i rozdęte, pełne nadziei i goryczy. Co niedzielę po południu odbywał się tutaj ten nielegalny, zabroniony seans – napieranie bab, rozkładanie kart. Przypieranie Babci do muru. Zostawiały po sobie trochę świeżego grosza i umazane kieliszki po wódce, które, jeden po drugim, myła i dokładnie wycierała Babcia. Nie wiadomo, gdzie Dziadek tak naprawdę się tego nauczył, nie wiadomo, dlaczego tym się parał pokątnie i niejako na bocznym torze swej przyzwyczajonej, codziennej egzystencji. Wiadomo tylko, że spotkała go za to kara. Karę tę wymierzoną mu w zaświatach zobaczyła we śnie moja matka. Dwóch diabłów trzymało go z obu stron pod łokcie i wiodło – opierającego się – w nieznanie. Na pewno nie na zawsze, na pewno. Wyglądało to jak

jakaś osobliwa figura taneczna, jakby tańczyli w trójkę obertasa. Po śnie tym niedawno wysnionym Mama zdwoiła poczynania mające na celu zbawienie duszy Dziadka. Ze zwiokrotnioną gorliwością zaczęła troszczyć się o to, aby w jego intencji regularnie odprawiane były msze.

A mnie się Dziadek niedawno śnił inaczej. Stał po przeciwległej stronie ulicy i widząc mnie, skinął, abym ją przekroczyła i do niego podeszła. Podbiegłam przez wezbraną rzekę liści, odpędzając napierające zewsząd samochody, żółte jak żuki, japońskie, zabłocone, znieślawione przez ptaki. Wszystkie takie jak mój, z poprzylepianymi do szyb karteczkami. Kupię teraz lub później. Dziadek uśmiechnął się, przytulił mnie i wcisnął mi do ręki właśnie wyciągnięty z kieszeni banknot stumarkowy, chociaż od dawna mamy już euro. Ale do Dziadka to jeszcze nie dotarło. W każdym razie wspiera mnie jak dawniej. Muszę tylko zrobić pierwszy krok, tylko przejść na drugą stronę. A on już tam na mnie czeka, ma rozpostarte ramiona. Gdyby żył, to wszystko na pewno by się nie stało. Gdyby żył, wszystkiemu by zapobiegł, unieważniłby własne proroctwa. Mam ostatnio odnośnie Dziadka coraz więcej dziwnych przypuszczeń. Zaczynam zdawać sobie sprawę, że dzwigał – być może razem z Babcią – jakąś wielką, bolesną tajemnicę, jakąś odpowiedzialność ponad siły, o której nigdy nie mówił nikomu, a której wszyscy jesteśmy dziedzicami. Jakże inaczej wytłumaczyć sobie zło, które przetacza się regularnie przez losy potomków Dziadka i ich dzieci? Czyjeś samobójstwo, czyjaś przedwczesna śmierć? To, że w imię wzajemnej miłości coraz więcej zadajemy sobie bólu? Aż rozdzieli nas na zawsze zmierzch?

Kiedy chorowałam, babcia zabierała mnie wozem do przychodni. Nieraz ponosił nas koń, bo babci lejce wypadały z rąk. Jej bezwładne dłonie opadały jak zwiędłe lodygi na kolana. Na ogół jednak udawało nam się dobrnąć. Tam to właśnie, pośród młodych kobiet z futrzanymi czapkami na utapirowanych włosach, z usmarkanymi berbeciami na kolanach, rozglądałam się za matką. Wskazywałam na co ładniejsze tłustym paluszkami: „Mozie to moja mama, a mozie to moja mama”... Śmiały się do rozpuku. Odbierały to jak kokieterię, popadały w ekstazę – niekochane, zapracowane, chętnie podejmowały grę. Dochodziło do tego, że pakowały mnie sobie na zmianę na kolana i przekazywały jak płonącą pochodnię, rzucały mną na wszystkie strony, zanosząc się od śmiechu. Ach, jaka śliczna, jakie dziecko urocze, jakie długie rzęsy. No, która z nas najpiękniejsza, u której zostaniesz już na zawsze? Wkrótce uzależniłam się od wizyt w przychodni, od zapachu strzykawek i polopiryny „S”, przede wszystkim jednak od ekscytacji, w jaką popadałam, płonąc w ogniu zainteresowania tych przemilych, chichoczących pań w wysokich kozaczkach, z odkrytymi kolanami. Będąc ping-pongiem pieszczonym przez raketki, motylem objającym się o ciała marionetek. Doszło do tego, że chorowałam na zamówienie. A gdy tylko przekraczałyśmy z Babcią próg przychodni, ja już zaczynałam nieprzytomnie przewracać oczami.

Jednej ze swoich wnuczek wywróżył Dziadek życie w wiecznym kłamstwie, rozdarciu i tęsknocie. Wywróżył, że dwóch mężów będzie miała. I na harmonii jej grał. *Jarzębino czerwona, któremu serce swe dać, jarzębino czerwona, którego wybrać mam, jeden dzielny tokarz, a drugi kowal zuch, powiedz, co mam zrobić, podoba mi się dwóch...* Okazało się, że taki sam los przypadł w udziale nam wszystkim. Nie pojmuję czemu wszystkie wyszłyśmy tak wcześniej za mąż. Wymiotło nas z domów rodzinnych, jakby przetoczył się po nich jakiś tajemniczy kataklizm, jakiś tajfun zacieki, jakby trzeba było uciekać na łeb na szyję, po to żeby potem na wieki wracać z bólem i tęsknotą, po to żeby tak naprawdę nie oderwać się nigdy. Wszystkie żyjemy w jakiejś dziwacznej, oburzającej i obezwładniającej nas obłudzie, w wiecznej goryczy, z ciężkim garbem nieczystego sumienia, z burzliwymi snami, które nie pozwalają nam żyć. Wszystkie popełniamy straszliwy błąd. Bierzemy ślub, odchodzimy, lecz nie potrafimy z tym żyć. Uginamy się pod ciężarem dwulicowo-

ści i pozorów, drżymy w każdym momencie, że coś się wyda, nie zdając sobie sprawy, co. Jedna z naszych córek, była to chyba Luiza, omal od tych kłamstw nie zwariowała. W wieku dziesięciu lat zaczęła krzyknąć, że ma tego dosyć, że nie może już tego słuchać, że już nigdy, nigdy nikogo nie oklamie, nawet gdyby chodziło o banalną wymówkę przez telefon, że mamusi akurat nie ma. Pewnego dnia uciekła z domu i próbowała przedrzeć się do klasztoru. Innym razem usiłowała przedzierzgnąć się w chłopca. Kiedyś nadpaliła swe dziewczęce ubrania, laziła w jakichś wysmolonych, spadających z tyłka spodniach i upierała się, żeby mówić do niej Grześ.

Dopóki Dziadek żył, stadko jego dzieci nie rozsypywało się jeszcze. Rozkład, rozpad i szaleństwo czyhały jeszcze za piecem, wypychały stamtąd smutnego, bezbronno jeża na nocne wędrówki pełne posępnych pomruków i postulatów. Podkłuwał nas nieraz po nocach, wsuwał się pod koldrę, piszczał, budził, ostrzegał. Daremnie. Nikt nie lubi, nie słucha proroków. Babcia umarła najpierw, miałam wówczas dwa i pół roku. Pewnego razu lejce na zawsze wypadły jej z rąk. Koń puścił się samopas przez miasto, wpadł do jakiegoś domu, pozabijał ludzi, przebił mur, skoczył zdeterminowany w jakąś przepaść. Wóz, z którego się urwał, poturlał się aż do rzeki, po to, by zamącić jej nurt. Babcia utonęła, wciągnięta do wody przez tysiące zawodzących rusalek i nimf. Mnie zaś uratował jakiś zuch. Może zresztą było to inaczej. Po prostu robiła w rzece pranie. Stało się tak, gdyż była chora i słaba. Jej ciało przeżerał już rak. Podobno nie przyjmowała witamin. Dziadek nie puszczał jej do lekarzy, których uważał za większych szarlatanów od siebie. Za dużo przeżyła w życiu, za dużo urodziła dzieci. Za ciężko jej było w Kazachstanie. Zbyt wiele złego zaznała od teściowej. Za wcześniej wyszła za mąż. Nie dane było jej się wykształcić. Obarczono ją opieką nad. Dziadek za mało jej śpiewał. Za mało jej wróżył z gwiazd. Snuła się jak cień cienia, jak smuga pomału gasnącego światła, nie podtrzymywana, nie podżegiwana przez nic. W głosie jej było tylko zniechęcenie, wymieszane z goryczą zgody na swój los. Tylko w nocy szczękała zębami. Nie, nie mów, kochanie, nie mów, że nie była ładna. Była piękna. Była piękna i kocham ją. Była piękna i wiesz co. Ty też nią jesteś, pamiętaj.

Nieraz ją spotykam. Kiedy przechylam się przez balustradę i patrzę w głąb. Tuż pod powierzchnią nurty formują się w jej twarzy. Nie mogę oderwać od niej wzroku, chcę się wtopić w jej zmęczone, dobre oczy. Albo huknąć „Baba, hebaty!”, niechby wstała, niechby się podniosła w środku nocy, poczytała mi Mamę, poszukała jej razem ze mną, odpłatała labirynt kłamstw i krzywd, labirynt cierpienia i zła. Franz wtedy ciągnie mnie za kołnierz. Wyciąga mnie, choć i wciąga. Może to dobrze, że go mam? Ale ta, której szukam, chce go zastrzelić.

Dlaczego w takim razie krąży po świecie opowieść, jakobym na pogrzebie Babci protestowała niestrudzenie „odpiaskować babcie, odpiaskować babcie”? Nie wiem. Nie wiem. Nie wiem.